



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-58-59

RADIO i TELEWIZJA

Warszawa, ul. Woronicza 17

wydanie

126

24 -06- 1973

Nr..... z dn.....

Notatnik TELEWIDZA

O BIECALEM tu przed dwoma tygodniami szerszy wywód o serialu „AKCJA V”; miał to być tekst pochlebny, chociaż nie bezkrytyczny. Tymczasem jednak przez prasę warszawską przetoczyła się istna lawina nieprzytomnych zachwyty, a potem Elżbieta Dryli zebrała w studiu grono poważnych panów, uczestników „tych” wydarzeń przed 29 lat, i zadała im parę obcesowych pytań, zmierzających do potwierdzenia i uwierzytelnienia — bez jakichkolwiek zbędnych komplikacji — wszystkiego, co nam w serialu pokazano. W dodatku nazywało się to „dyskusją”...

W tej sytuacji postanowiłem — chociaż serial i mnie szczerze się podobał — wypełnić tzw. dołki w lukę i napisać głównie o mankamentach „Akcji V”. Nie widzę bowiem żadnego powodu, aby odbierać ten utwór na kłęczkach: mimo swych wszystkich niezaprzeczalnych zalet, jest to rzecz dosyć nierówna.

Prawdziwy zachwyt muszą budzić tylko dialogi. Jerzy Janicki, który nieraz już dowiódł, że jak mało kto słyszy i umie odtworzyć prawdziwą ludzką mowę, tym razem doprawdy przeszedł sam siebie. Dialogi są barwne, bogate, zindywidualizowane, plastycznie charakteryzujące postacie. Brzmia naturalnie i przekonująco nawet w sytuacjach nieco sztucznych.

Trochę natomiast gorzej jest z dramaturgią. Nie całkiem mnie przekonano usprawiedliwienie, podniesione w telewizyjnej, pożał się bozlu, dyskusji — że mianowicie trudno konstruować dramaty, którego zakończenie widzowie znają. Pewnie, że to sprawy nie ułatwia, ale przecież na dobrą sprawę w takiej na przykład „Stawce większej niż życie” też było z góry wiadomo, że Kłossowi włos z głowy nie spadnie, a wolne Niemcy przegają. Albo w „Świętym”, którego nowe odcinki właśnie ogladamy, tylko małe nalwa dzieł drża o los Simona, którego bezapelacyjnie zwycięstwo pod koniec każdego filmu jest wręcz częścią składową obranej przez autorów poetyki. A mimo to ileż tam napięcia, ile suspense’u.

U Janickiego zaś, a zwłaszcza u Andrzeja Zakrzewskiego, reżysera serialu, różnie z tym bywa. Myślę na przykład, że pochopnym chwalcom, którzy z dźwiękami swych opinii nie doczekali do końca serialu, mocno zrzędył miny przy odcinku ostatnim, pozbawionym w realizacji nawet

tego minimum napięcia, które zawierał jest w dokumentalnym zapisie Michała Wojewódzkiego.

Z początku sądziłem, że główną przyczyną niedowiadów dramatycznych serialu jest zrozumiały skądinąd lek autora przed zbytnim oddalaniem się od znanych faktów historycznych. Ale nie, nie w tym błąd. Prawdziwe kłopoty zaczynają się właśnie przy nieodczuwanych jednak (czymś w końcu trzeba nas było straszyc...) odejściach od ścisłego toku dokumentacji. Artur Sandauer przypominał w swej kapitalnej rozmowie z Aleksandrem Małachowskim (12 VI) proste, lecz głęboko prawdziwe zdanie Gogola: „Nieźla raskazywał”, czyżby niemożność nie przigat”. Nie o fikcyjne perypetie więc pretensja, ale przeciwnie — o traktowanie ich wyłącznie w charakterze chwytów technicznych, które można beztrząsco porzucić po jednorazowym użyciu.

Na przykład dobry Niemiec, pracujący dla alianckiego wywiadu, dekonspiruje por. Jończyka przed swoim synem, żołnierzem z Peenemünde. Syn w krzyk i do drzwi: chce zawiadomić gestapo. Suspence. — Ale w następnym odcinku Jończyk przebywa w dobrym zdrowiu na wolności, zaś do Londynu nadeszły wyczerpujące meldunki o bazie w Peenemünde. Widać sygnal nie tylko dał się udobruchać, ale jeszcze wyśpiewał wszystko, co wiedział o Wunderwaffe. Ciekawe, jak to przebiegało, jakie argumenty przesądziły niełatwą przecież decyzję młodego żołnierza. Prawda, że może to są pytania „z innego filmu”, ale przecież nawet w literaturze sensacyjnej nie po to się coś zaplatuje, by potem dać tylko do zrozumienia, że najwidoczniej sprawa sama się jakoś rozplątała.

Są i potknięcia innego rodzaju: bohaterowie bywają głupszy od widzów. Na przykład w ostatnim odcinku historia ze schwytanym żandarmem. Dziecko by się domyśliło, że to w przebraniu oczekiwany łącznik z ważną przesyłką; widz bardziej ostrzaskany wie od razu, że nie tylko łącznik, ale konkretnie Borowik, który zginął nam z oczu parę odcinków temu i najwyższy czas, aby się odnalazł. Ale na ekranie kilku starym koniokom i wytrawnym konspiratorom nawet najmniejsze podejrzenie we łbach nie zaświta.

Nieprawdopodobnie głupia i naiwna — niemal jak sępe z Abwehry w „Stawce większej niż życie” — jest

też owa rzekoma Holenderka z Londynu, która zaraz na wstępie serialu omal nie powoduje wpadki dzielnego por. Jończyka. U podstaw tej całej afery leżą zresztą dość zasadnicze błędy lub co najmniej niedopowiedzenia natury faktograficznej. Po pierwsze — nie bywało tak, by „cichociemny” dowiadywał się o swej misji w przeddzień odlotu i maszerował na lotnisko prosto z zacisznego mieszkania na mieście. Misję z reguły poprzedzało kilkutygodniowe szkolenie, odbywane w zupełnej izolacji od kontaktów z kimkolwiek z cywilnego otoczenia skoczka, zaś „lewe” papiery otrzymywał spadochroniarz doświadczonego w chwili przed startem. Są to rzeczy podstawowe i dosyć powszechnie znane.

Jeżeli więc nawet — w co mocno wątpię — w wypadku historycznego „Numeru 2” popełniono choćby część ukazanych w serialu odstępstw od żelaznych reguł konspiracji, to musiały istnieć po temu jakieś szczególnie ważne, choć trudne do pojęcia powody. Szkoda, że autor ich nie ujawnił lub w potrzebie nie zmyślił: często prawdopodobieństwo wymaga, by skoro się już „dołgało”, „A”, dołgać jeszcze „B”, „C” lub choćby cały alfabet...

U FF, trochę się rozpisiał, a tu jeszcze tyle do omówienia. Więc tylko krótko odnotuję niewypały, jakim okazał się „BLAZEN” Świątchochowskiego, nadany 8 VI zstępco (zamiast Gorkiego) z Krakowa — oddam, co należy, świetnie zmagistrowanej przez Anouilha sztuce biograficznej o Mollerze („MOLIEROWNA”, 11 VI z Katowic) oraz jej inscenizacji (Gogolewski) i świetnemu na ogół wykonaniu (znów Gogolewski, Wiesława Mazurkiewicz i bardzo dobra Ewa Dałkowska) — by przejść do właściwego wydarzenia tygodnia — jeśli nie roku — którym okazał się film Ryszarda Bera „CHŁOPCY”, oparty na znanej w nieco innej wersji sztuce Stanisława Grochowiaka.

Nie wiem, jakie będą — a właściwie, kiedy to czytacie, już były — losy tego filmu na festiwalu w Pradze, na którym Ber w zeszłym roku otrzymał i nagrodę za film „Przez dziewięć mostów”. Taki festiwal to nie Wylęg Pokoju, i wątpliwe, czy sukces Szukrowskiego jest do powtórzenia. Jednak na pewno dobrze się stało, że właśnie ten film reprezentuje TVP w poważnym konkursie międzynarodowym. Jest to bowiem film znakomity. Jakże świetna w nim dramaturgia drobnych wydarzeń i wolno ciekącego czasu, jaka umiejętność wywołania i utrzymania nastroju, wreszcie cóż za różnorodność i głębia rozwiązań aktorskich — od tajemniczej, pełnej tłumionych pasji powściągliwości Kazimierza Opalińskiego aż do

Mała galeria RTV



IGNACY GOGOLEWSKI
jako Moller
Rys. T. Runkiewicz

okrutnego niyekshibicjonizmu Zofii Mrozowskiej! A jeszcze Siostra Maria Mai Komorowskiej — groźna w swej pysze i potrzebie dominacji, lecz trawiona od wewnątrz czymś straszniejszym i silniejszym od niej! Jeszcze Siostra Przełożona Zofia Małynicz — jakże mądra i subtelna w swej niemal żołnierskiej rubasznosci; jeszcze Mrożewski jako wyleniały „radkał”, postać tyleż zabawna co tragiczna.

Wiele widziałem filmów o starości; w większości z nich działy się rzeczy wielokrotnie straszniejsze niż drobne w końcu kłopoty pensjonariuszów domu starców. Żaden jednak nie wzruszył mnie tak jak „Chłopcy”. Może dlatego, że nie jest to właściwie film o „lesieniu życia”; to jest po prostu film o życiu... Film mądry, ciepły i dobry, choć wcale nie naiwny. Kto go nie widział 12 czerwca wieczorem lub 13 rano, niech żałuje.

WIKTOR JANOWSKI